

EWA PIASECKA: Stała się pani aktorką, której artystyczne wybory kojarzy publiczność nie tylko ze sztuką. Słyszałam jak ktoś porównywał panią z Jane Fonda...

KRYSTYNA JANDA: To porównanie nie ma sensu. Fonda prowadzi działalność polityczno-społeczną poza zawodem aktorskim. Pokazuje się na mityngach, wygłasza przemówienia, głosi prywatne teorie i zdania, iż najprzeróżniejsze tematy. Chociażby dlatego porównywanie mnie z nią jest bezsensowne. Ja nie wypowiadam się publicznie. Uważam, że nie mam do tego prawa. Zbyt mało wiem, zbyt mało rozumiem. Poza tym jestem zbyt impulsywna — szybciej mówię niż myślę, łatwo ulegam emocjom. Osoby z takim temperamentem i sposobem bycia jak mój nie powinny, sądzę, zajmować się działalnością publiczną tego rodzaju. Gram kolejne role. Jeśli ich selekcję można nazwać polityką, to w tym sensie się nią zajmuję. Gram to, co wiem, rozumiem i czuję.

— Zawsze miała pani takie poczucie odpowiedzialności?

— Do odpowiedzialności dorosłam dopiero przy „Człowieku z żelaza”. Gdy kręciliśmy „Człowieka z marmuru”, nie rozumiałam, co znaczy ten film, scenariusz i lata, o których była mowa. Prawie nic o nich nie wiedziałam, jak filmowa Agnieszka. Wtedy najważniejszy był dla mnie fakt, że kręciłam z Wajdą. Nadal jest on zresztą dla mnie artystycznym i moralnym wzorem. Od niego się wszystkiego nauczyłam, jemu ufam i wierzę.

zagrać wyciszoną, mądrą kobietę. Wiedziałam, że chcę zagrać przez półtorej godziny jedno zdanie Ernesta Brylla: „Bądź jak kamień, stój, wytrzymaj...” Ze to zdanie ma do publiczności dotrzeć, ma je ona zrozumieć, czy sobie przypomnieć. Chciałam, żeby było dokładnie zrozumiane. To wszystko. Nigdy zresztą nie chcę za dużo. Chcę przekazać jedną myśl, jedno zdanie, które ustalę precyzyjnie.

— Czy jest pani zadowolona z „Panny Julii”, której premiera odbyła się niedawno w „Powszechnym”? Opinie widzów są różne.

— Mogłam zagrać swą rolę kolorowo, „na zewnątrz”, posuwając się aż do hysterii, z ekspresją, która na pewno podobałaby się widzowi. To byłoby łatwe, ja — wydaje mi się — chciałam czegoś więcej. Chciałam, żeby widz naprawdę przejął się problemem Julii, problemem ochrony honoru, ważnym w każdym czasie — także i teraz. Zdaje się jednak, że wierząc w to, że mogę widza przekonać do Panny Julii, wykażalam wielką naiwność. Gramy tę sztukę w czasie, gdy marzenia większej części widowni są nie marzeniami Julii, a... marzeniami Jeana: zdobyć, wyjechać. Mieć hotel w Szwajcarii. Po premierze miałam żal do siebie, ponieważ Julia na scenie nie była tą Julią, którą miałam w głowie, czułam się oszukana przez samą siebie i zawiedziona przez publiczność. Spotkałam się z przychylnością, ale i pobłażaniem — to mnie zabolowało. Czułam się źle, tym bardziej że nie chciałam zawieść Wajdy. Zawsze marzyłam, żeby spotkać się z

— Krążyły w rozmowie wokół artystycznej i pozartystycznej odpowiedzialności aktora. Inny artysta, w gorszym położeniu materialnym, mógłby powiedzieć — pani Janda może sobie na to pozwolić...

— To prawda, że moja sytuacja finansowa jest inna niż większości kolegów. Jestem jakby swoim sponsorem w Polsce. Zresztą mój mąż też jest „fundacją” na rozwój sztuki Krystyny Jandy — jak można by żartobliwie powiedzieć. Buty, szminki, fiszbin i gorsety, ubrania i kostiumy, które przywożę z zagranicy z myślą o rolach grających w teatrze i filmie, bo tych rzeczy u nas nie ma, kosztują więcej niż w ogóle zarabiam w kraju. Moja agentka, gdy wyklółam się o gażę, krzyczy: „Przecież w Polsce grasz za 10 dolarów dziennie...” To prawda, chociaż odpowiadam oczywiście: „Ale za granicą mój prestiż zależy od wysokiej gaży, więc Polski do tego nie mieszaj...” — Z punktu widzenia finansowego każde moje wejście do teatru jest bezsensowne — mogłabym w powodzeniu nie ruszać się z domu i odpoczywać aż do następnego wyjazdu na Zachód. Ale emocje związane z pracą w kraju są tak olbrzymie! Trudno dodać coś więcej, bo wszystkie słowa są niewłaściwe, niedobre, egzaltowane. Ale jakie inne są lepsze? Miłość do zawodu? Zrobiłam się maszyną do grania — 12 lat bez urlopu. Nikt nie potrafi tego zrozumieć, mąż, córka, ja sama też nie potrafię... Nowa rola i na nowo się zapalam... Mogłabym zwolnić tempo — nie zwalniam... Moi koledzy wruszają ramionami, gdy nie rozumiem, dla

— Zabolowało mnie właściwie tylko jedno. Tam wszystko jest o wiele prostsze i nie dlatego, że „jest”. Przykład z planu filmowego: gdy któregoś dnia nie dojechała nasza stołówka — catering, dwóch oświetlaczy szybko się zakrzętnęło, kupili kawę, bułki i coś do nich, zrobili kanapki, zaparzyli kawę. Napisali: kanapka 75 centów, kawa — 25, drogo — ale wszyscy byli zadowoleni, a oni zarobili. Gdy w Polsce (wiadomo, że pracujemy czasami 10, 12 godzin bez jedzenia, picia, na zimnie) jeden z kolegów wykonał podobną inicjatywę: kupił paczkę herbaty, zaparzył ją, wziął od nas tyle pieniędzy, ile włożył, następnego dnia został... ukarany.

— W Ameryce zagrała pani jedną z głównych ról w telewizyjnym serialu, który nakręciła telewizja z Kolonii. Zatrudnienie pani podrażało koszty, chociażby ze względu na konieczność dubbingu. Protestów nie było?

— Zawsze angażowanie zagranicznych aktorów budzi sprzeciw. W dodatku miałam grać Niemkę w niemieckim filmie. Ale reżyser się uparł. Obejrzał zdjęcia 60 aktorek niemieckich i zdania nie zmienił. Przyjechałam do RFN nieświadoma trudności i wojny, jaką o mnie stoczyli ze związkami zawodowymi reżyser i producent. Na szczęście zamiast zakładanych strat przyniosłam oszczędności. Był to mój czterdziesty film — okazałam się najbardziej doświadczoną aktorką na planie. Gdy po nakręceniu scen w Niemczech przyjechałam do Ameryki, czekały już na mnie kwiaty z podziękowaniem za udział w filmie.

OWAD W GABLOCIE

Z KRYSTYNĄ JANDĄ rozmawia Ewa Piasecka

Jeśli gram w filmie Andrzeja, staram się jedynie zrozumieć, czego ode mnie chce i to realizować.

— Po premierze „Heloizy i Abelarda” Ronald Duncana odeswały się głosy, które można streścić następująco: „Jeśli będzie modne mówienie na jakiś temat, na przykład wiary, religii, polityki, to na pewno Janda wystąpi z czymś takim...”

— Zagrałam po prostu we wspaniałej opowieści o miłości. Na każdą proponowaną rolę patrzę także pod kątem możliwości aktorskiego rozwoju. Heloiza Duncana była więc dla mnie interesującą osobowością, inną postacią niż te, które do tej pory grałam. Była nowym zadaniem, nowym problemem artystycznym. Po co zresztą się tłumaczyć? Przecież to idiotyczne zarzucać aktorowi, że robi coś, co jest aktualne! „Aktor musi wahać swój czas” — mówił Cybulski.

— Udział w filmie Piwowarskiego „Kochankowie mojej mamy” także był konsekwencją „wahaniania czasu”?

— Zagrałam w „Kochankach...”, ponieważ wydawało mi się, że potrzeba gorącego filmu, który na pewno na nowo postawiłby wartości podstawowe, przypomniawszy prawdziwe pierwiastki, jednocześnie — filmu bardzo prostego. Wszyscy wokół mówili, że przydałby się film o uczuciu, o gwałtownych emocjach. Dlatego też z taką pasją zagrałam. Prostota okazała się, niestety, najtrudniejsza. Frekwencja na „Kochankach...” świadczy jednak i o umiejętnościach zawodowych, i o osiągnięciach artystycznych reżysera, i o trafności wyboru tematu. Zawsze się nad tym zastanawiam. Pracuję przecież „dla społeczeństwa”. To oświadczenie wzbudza zapewne podejrzenie i nieufność, bo przecież gdzie zwykły egoizm? To prawda, że myślę przede wszystkim o sobie, ale właśnie dlatego zastanawiam się, czego ode mnie oczekuje, czego chce — publiczność.

— Skąd można wiedzieć, czego chce dzisiaj publiczność?

— Jeśli wybieram rolę, to wiem dokładnie, dlaczego chcę ją zagrać, jak ma się ona do tego, co — wydaje mi się — zaprzęta w tej właśnie chwili uwagę społeczeństwa. Jak ma się do jego potrzeb i myśli. Staram się też trafić w gusty estetyczne i formalne zgodne z czasem i tematem. Gdy dostałam scenariusz „Czasu kary” (tytuł zmieniono potem na „W zawieszaniu”), byłam pewna, że jest to rola, którą powinnam zagrać. I zagrałam. Frapował mnie temat i aktorskie zadanie:

nim w teatrze i ciągle się to nie udawało. „Wieczernik” to było zaledwie piętnaście przedstawień, potem próbowałam „Dwoje na huśtawce”, ale nie doszło do premiery i wreszcie... Stuknęłam nosem o ścianę. Ale... wciąż, każdego wieczoru pracuję nad rolą. Już razem z publicznością.

— I porywa się pani na następną, chyba jeszcze trudniejszą rolę...

— Tak. Medea to nie jest rola na sukces w najszerszym tego słowa znaczeniu. Oczywiście w sytuacji, w jakiej się znajduję, mogłabym wybierać jedynie role bezpieczne. Ale po co? Chcę iść naprzód — więcej umieć, rozumieć. Nie żałuję decyzji. Cieszę się z ponownego spotkania z Zygmuntem Hübnerem, którego dyscyplina intelektualna w pracy jest mi niezwykle potrzebna i z tego, że moim partnerem będzie Jerzy Zelnik, ale to prawda, że teraz stoję już nie przed ścianą, jak w „Julii”, ale przed górą lodową. Mam przekonać publiczność do kobiety, która zabiła własne dzieci. „Medea” to opowieść o niezwyklej dumie i rozpacz. Jakże to odległe od naszej mentalności, sposobu odczuwania, wrażliwości, poczucia moralności... Inaczej wygląda wszystko, gdy się wie, że Medea to wnuczka Słońca, że bogowie greccy rządzą się krwawymi prawami i że obejmowały one także i jej rodzinę. Ale przecież przed spektaklem nie będzie wykładu... Muszę więc mojemu widzowi, który niewiele wie o antyku i greckiej tragedii, pokazać prostymi znakami, że ma do czynienia z problemami jakby z innego świata.

— Kim jest ten widz, o którym pani mówi „mój”?

— Mój ulubiony widz to zawsze tzw. szeroka publiczność — nie elita, choć kłaniam się jej nisko. On właśnie wiele razy dał mi odczuć, że mnie akceptuje, że podoba mu się mój sposób rozmawiania z nim, ale też i to, że wiele ode mnie oczekuje. Chce, żebym mu pomogła przejść przez „kładkę” i żeby to nam razem się udało. Przecież przez to wszystko, co sprawia mu kłopot — więc przejść także do tej dziwnej Medei, która zabiła własne dzieci. To trudne zadanie. O wiele łatwiej będzie mi zagrać Modrzejewską. Ona też była wyjątkowym potworem, ale „ziemska” wola, pazerność, honor — to wszystko jest bliższe widzowi. Moje zadanie sprowadza się będzie do tego, żeby publiczność zjednoczyła się ze mną w owęj walce o doświadczenie do celu, żeby była sercem ze mną. Medea to coś znacznie trudniejszego.

czego kończymy próbę w tak istotnym momencie zamiast próbować dalej, jeszcze przez godzinę — co z tego, że druga w nocy? Nikt mnie nie rozumie. Za czym gonie, o co mi chodzi, o jakie kryterium, do jakiego zmierzam przytem? A dla mnie każda próba w kraju jest jakimś wyzwaniem i szaleństwem. Wszystko staje się przez to prostsze i... trudniejsze. Jednocześnie jestem coraz rzadziej w środowisku partnerem — wyjmuje mnie się poza nawias, lekceważy w pewien sposób, izoluje. Po co tu w ogóle jest...

— I zajmuje miejsce?

— Może. Czy mamy znowu mówić o pieniądzach? Sytuacja finansowa środowiska jest przerażająca. Moja pensja w teatrze wynosi 27 tysięcy. Myślę, że gaże moich kolegów o wiele bardziej doświadczonych są podobne. Najwyższa stawka za dzień pracy w filmie — 10 tysięcy, ale jak mało propozycji! W Polsce robi się przecież rocznie około 30 filmów. Jeden z urzędników Ministerstwa Kultury i Sztuki powiedział: „Po co im podnosić gażę? I tak będą pracować, bo to lubią”. I ma rację... Intensywność pracy, warunki, przebijanie się w zawodzie — wszystko cięższe, trudniejsze niż na Zachodzie, przy czym tam zawod aktorów traktowany jest jako wyjątkowy, tu — lekceważony i śmieśniewnie wynagradzany.

— Czy znaczy to, że jest pani za propozycją Zbigniewa Zapasiewicza, który zasugerował konieczność reorganizacji systemu teatralnego? Pomysł ten wywołał prawdziwy popłoch.

— Ludzie poczuli się zagrożeni. I nie dziwnego. Wprowadzenie podobnego systemu wymagałoby przygotowań, rozwiązania wielu problemów natury prawnej, m.in. załatwienia dla aktorów zasiłków. Zgody, że repertuarem będą rządzić jedynie prawa popytu, zapotrzebowania rynku — politykę kulturalną trzeba by zawiesić na kołku. Cenzura też musiałaby się zmienić. Trudne do rozwiązania są problemy natury psychologicznej. Na Zachodzie, gdy aktorzy nie grają, pracują czasowo gdzie indziej. Jak byłoby u nas? Czy te rozważania mają w gruncie rzeczy sens? Tak wiele pieniędzy przecież się marnuje... Być może w naszym kraju sensowne jest dofinansowywanie teatrów — stosunkowo najmniej szkodliwe...

— Widzę, że półroczny pobyt w Ameryce wyostroił pani spojrzenie na Polskę...

W drugiej, „amerykańskiej” części traktowano mnie naprawdę niezwykle, z ogromnym szacunkiem. Nie chodziło już o to, czy jestem dobrą aktorką czy nie. Moje umiejętności techniczne zamieniały się w dolary. Zabawny powód szacunku...

— Jakie są pani inne ryki?

— Zwiedziłam prawie całą Amerykę. Poza tym wspaniale odpoczęłam — na głowie miałam „tylko” jeden film. Zgodnie z kontraktem telewizja zachodnoniemiecka ma wyświetlić go co najmniej pięć razy, zakupiło go też wiele telewizji innych krajów. Ta rola ma więc dla mnie znaczenie prestiżowe.

— Mówi pani przede wszystkim o ciężkiej pracy i odpowiedzialności, a przecież w życiu aktora bywają także przyjemne chwile: premiery, festiwale, gala.

— Tej drugiej strony zawodu nie cierpię. Jak jest bankiet po premierze, ja jestem już tak zmęczona, że... idę spać. Nie byłam na większości premier swoich filmów. W Cannes wystarczył mi jeden pobyt. Nienawidzę atmosfery wielkiego targu i sprzedawania się za wszelką cenę. Czuje się zupełnie tak, jakbym na święta przyjechała do mojego rodzinnego miasteczka. Wszyscy mnie oglądają, a ja opowiadam, jaka jestem fantastyczna. Niestety moja agentka uważa, że powinienam co najmniej pół roku być za granicą, bo inaczej cierpią na tym moje interesy i ma kłopoty z następnymi kontraktami. Sytuacja moja jest przecież taka: mieszkam w Polsce, pracuję — często na Zachodzie. Zeby mogła wyjechać z kraju, muszę mieć konkretną propozycję. A jeśli reżyser nie zechce mnie zaangażować nie widząc „na żywo”? Nie mam na stałe paszportu, formalności związane z każdorazowym wyjazdem są niezwykle męczące. Angażują mnie więc najbardziej wytrwali i absolutnie na mnie zdecydowani. Więc agentka uparcie: powinna pani... Chciałaby, żebym spotykała się z producentami, dystrybutorami, bywała na kolacjach wydawanych przez koncerty filmowe.

— Co pani na to?

— Mówię, że jeśli ktoś naprawdę chce mnie zaangażować, wyciągnie mnie nawet spod ziemi. Mój świat i mój widz są tutaj. Tam będę zawsze owadem przypiętym szpilką w gablocie.

— Dziękuję za rozmowę.